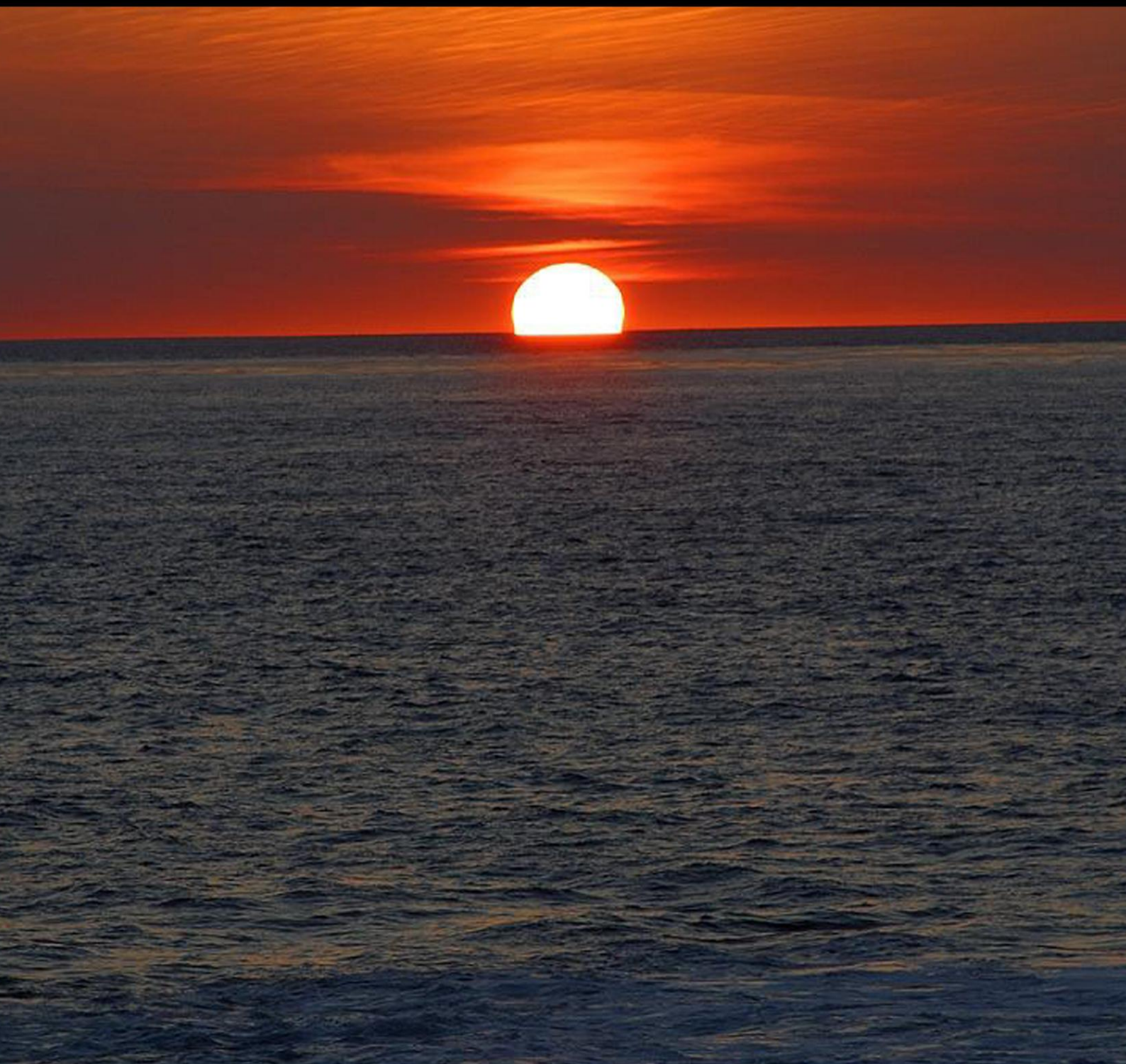


Krzysztof Cirkot



**Wypatrując swego
PRZEZNACZENIA**

Krzysztof Cirkot

**WYPATRUJĄC
SWEGO
PRZEZNACZENIA**

© Copyright by Krzysztof Cirkot & e-bookowo 2009

Projekt okładki: Krzysztof Cirkot

ISBN 978-83-61184-66-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2009

SPIS TREŚCI

Zdrajca.....	5
Najsilniejsze z uczuć.....	9
Glennen Yryath.....	15
Park.....	21
Balaton.....	23

ZDRAJCA

– Dokąd teraz? – wysapał Folino.

Biegli od dłuższego czasu, od kiedy czuły słuch arysty wyłowił dalekie rżenie konia. Mógł to być pościg, lub mogła to być także zwykła czujka – tak czy inaczej, z pewnością byli to wrogowie.

Stali na wydmie, zrogowaciałej od odłamów szaro-żółtej skały, czyhających niemal jak żywe drapieżniki na poruszenia piasku, by bezszelestnie i zajadle uderzyć w ofiarę, zadowolając się zwykle bolesnym kaleczeniem kostek. Byli na pograniczu. Po prawej, hen aż po horyzont, rozciągała się drgająca w gorącym powietrzu, rozgrzana jak piec pustynia Elek. Po lewej w oddali leżały Stepy Południowe z celem ich wędrówki, pasem twierdz zwanych Zębami Aguara, wzniesionych ongiś przez Bileartha Mężnego, by strzegły dawnych granic.

Arysta wskazał na ogromny głaz leżący o jakieś sto stóp od wydmy. Folino obejrzał się. Jeźdźcy wciąż pozostawali niewidoczni spoza szeregu wydm i skalnych nasypów, ale i on słyszał teraz wyraźnie parskanie koni i stukot podkutego kopyta o kamień. Tamten miał rację. Dalsza ucieczka nie miała sensu.

Zbiegli w dół po osypującym się zboczu z piaskiem zasysającym ich spieczone boscie stopy i ruszyli dalej biegiem. Folino próbował nadażyć za niezmordowanym arystą, ale wyczerpanie spowodowane odwodnieniem i nagłym, szaleńczym sprintem po wydmach spowalniało jego ruchy – czarne plamy tańczyły mu przed oczami, w ustach i płucach miał roztopione żelazo, a nogi ciążyły jak sztaby ołowiu.

Uciekali pieszo już drugi dzień. Konie padły im w potyczce, z której ocaleli tylko oni spośród wielkiej grupy uciekinierów zbiegłych z pogromu. Na wspomnienie klęski zrobiło mu się niedobrze, łzy stanęły w oczach. Ponownie miał przed nimi obraz bitwy, w której 35 tysięcy doborowego wojska ich królestwa pod wodzą sławnego hetmana Balemora dawało skuteczny odpór 120-tysięcznej armii najeźdźców ze sprzymierzonych Królestw Zachodnich. Wszystko toczyło się doskonale, gdy w decydującej fazie bitwy zdarzyło się coś, czego bezer nie chciał pamiętać, lecz obraz zdarzenia uparcie przesuwał mu się przed oczami. Bezerowie – dwanaście tysięcy tarczowników, cała ciężka piechota armii, oraz cztery tysiące ciężkiej jazdy – przeszło na stronę wroga, rozdzierając zwarte dotąd szeregi.

Klęska była zupełna. Zdradzony Balemor zginął, walcząc do końca, zasieczony przez swoich żołnierzy. Straszliwą rzeź sprawiono arystom. Nieliczne niedobitki, ścigane i wycinane bezlitośnie, schroniły się na pustyni, gdzie oczekiwała ich śmierć z pragnienia. Niektórym być może udało się zbiec i nieśli ze sobą wieść o klęsce i zdradzie, siejąc popłoch i panikę. Pałac i mordując, wroga armia deptała im po piętach Stepami Południowymi, które rozciągały się wąskim przesmykiem pomiędzy pustynią Elek i Morzem Białym. Kraj ten był ubogi i zwycięzcy nie zabawią długo pustosząc go, śpiesząc dopóki panika jeszcze nie ostygła ku twierdzom Aguara, broniących dostępu do żyzniejszych krain.

Zdrada – smak tego słowa był jak żółć. Folino, podobnie jak garstka nielicznych nie brał w tym udziału, lecz czuł się odpowiedzialny. On, zawsze dumny ze swego pochodzenia członek plemienia Bezerów, teraz czuł wstyd za cały swój ród. Dobrze pamiętał noc poprzedzającą bitwę w obozie, kiedy dwóch kompanów z jego chorągwi zaproponowało mu złoto, by się do nich przyłączył. Wtedy pomyślał, że to głupi żart i kazał im iść precz, a gdy się odwrócił plecami otrzymał cios, po którym stracił przytomność. Po prostu nie docenił powagi sytuacji: armia zalegała z żołdem od wielu miesięcy i żołnierze byli gotowi słuchać każdego, byleby tylko zapłacił. Poza tym nienawiść plemienna, długi czas uśpiona, nie potrzebowała wiele, by znów zapłonąć gorącym ogniem. Szpiedzy królestw Zachodnich nie trwonili czasu – cały czas działali w obozie wśród zwykłego żołnierstwa, obiecując góry złota

i podsycając wrogość do arystów przypominając stare, jeszcze do końca nie zagojone rany i pretensje. Na dzień przed bitwą zamordowano dwóch oficerów, a ukaranie winnych przez wbicie na pal jeszcze pogorszyło sytuację. Nastroje te zlekceważono, co było błędem największym i zemściło się straszliwie.

Teraz już było za późno – zło się dokonało. Przez te dwa dni nie zamienili z arystą ani słowa, ale Folino widział i czuł, jak każdy jego ruch i spojrzenie powtarzało w kółko wciąż jedno słowo: „zdrajca”. Co więcej, widział je wypisane na każdym kamieniu; szumiało je każde źdźbło trawy. Kamienie kopał, trawę wrywał, ale nie pomagało.

– Szybciej – ponaglił tamten.

Patrzcie, jaki rozmowny się zrobił, pomyślał nie bez złości. Sam sobie „szybciej”, ja nie jestem sarną. Ten łobuz zdawał się mieć niewyczerpany zasób sił. Wczoraj oddał mu nawet ostatni łyk wody. Musiał pochodzić ze stepowego szczepu Arystów, który zamieszkiwał te tereny. Ci z gór i terenów północnych, podobnie jak bezerowie, nie znosili upałów.

Odgłos kopyt stawał się coraz wyraźniejszy. Rzucił okiem przez ramię – czarne stożkowe hełmy jeźdźców już wynurzały się ponad wydumą. Rzut oka na głaz, za którym właśnie zniknęła stopa arysty uświadomił mu, że nie zdąży. Zatrzymał się i zgięty w pół oparł dłonie na kolanach i oddychał ciężko, wciągając głęboko do płuc rozpalone powietrze.

Jeźdźcy zatrzymali się na szczycie wydmy. Było ich pięciu. Ubrani byli w bezrękawce kaftany z barwami królestwa Unelii. Dwóch z nich spokojnie ściągnęło łuki z pleców i wzięło go na cel.

Folino nagła myśl uderzyła do głowy. Wyprostował się i zamachał rękami jakby ucieszył się na ich widok.

– Idiota! – usłyszał syknięcie zza głazu.

– Hej, bywaj, do mnie tu! – wydarł się bezer.

Jeźdźcy spojrzeli po sobie pytająco. Jeden z nich, ze skrzydłami u hełmu, dał znak ręką i strzały powędrowały z powrotem do kołczanów. Leniwie zjechali z wydmy, słońce błyszczące na czarnych skórach ich wierzchowców z mięśniami zwijającymi się pod nią jak podrażnione węże. Otoczyli go ciasnym kołem. Skóra żołnierzy była lepka, ciemnozielona z ciemniejszymi pla-

mami i cała pokryta brodawkami. Cuchnęli mułem. Kaptury kolcze z gęstej siatki zasłaniały im szyje i większą część twarzy – jedynie żółte, wąskie oczy pobłyskiwały jak ślepia panter. Tego samego koloru były ślepia wierzchowców, które miały po dwa kły u dolnej szczęki, długie na stopę i zakrzywione jak szable dzika, a także dwa bawole rogi ponad kudłatymi, krótkimi, lecz szerokimi uszami. Jeden z nich próbował ugryźć Folino.

– Dobrze, że przybywacie – skłamał bez mrugnięcia okiem. – Gonię przekłętego arystę, ale już brak mi sił. Schronił się, bestia, tam. – Wskazał palcem na głąz.

– Łżesz jak wąż – warknął dowódca głosem przypominającym mlaskanie gorącego błota. Uniósł ostrze swego krótkiego, szerokiego miecza, którego czubek spoczął w dołku u podstawy szyi Folino. Bezer dopiero teraz zrozumiał, że ma do czynienia z krwiożerczymi demonami z Naig-Urecht – na wpół legendarnego miasta-państwa, leżącego gdzieś w dżunglach dalekiego południa. Zajęło mu to tak długo, bo zawsze śmiał się z tych, którzy w nie wierzyli.

Już po mnie, pomyślał.

– Gdzie tam – rzekł siląc się na obrazę. – Chciałem go złapać, bo był rozkaz, żeby żywcem brać.

Demony spojrzały po sobie. Chyba pierwszy raz słyszały o takim rozkazie.

– A gdzie twoja broń, co? – Nacisk miecza zwiększył się. – Też był rozkaz, żeby bez broni latać?

– Zabierz pan ten kozik, panie oficerze – odparł Folino, bezskutecznie usiłując przełknąć ślinę. – Jak będę się chciał podrapać, to sam poproszę. Koń mu padł, mojego ustrzelił, a miecze pokruszyliśmy w walce. Tak mnie wnerwił, że pogałem za nim i choćbym miał tak biec całe życie, to złapię i łeb ukreczę.

styczeń – kwiecień 1997

NAJSILNIEJSZE Z UCZUĆ

Zimny, ostry wiatr zatańczył po pustych uliczkach wznosząc tumany pyłu, zawył pod strzechami chat i ucichł, by po chwili powrócić z nowymi siłami. Samotny człowiek, prowadzący za uzdę niewielkiego konia, mocniej wcisnął kaptur długiego płaszcza na głowę, zgarbił się i przyśpieszył kroku. Zanim następne uderzenie wiatru zdołało go dopaść, ubrana w skórzaną rękawicę dłoń wynurzyła się spod fałd płaszcza. Mocne dudnienie o solidne drzwi rozległo się wśród ciszy wyludnionego, zdałoby się, grodu. Z karczmy, u progu której stał nieznajomy, mimo późnej pory i surowo przestrzeganej ciszy nocnej, rozlegał się przytłumiony gwar rozmów, a z okien osłoniętych wolimi pęcherzami padało mdłe światło.

Po krótkiej chwili zza drzwi dobiegło ciche przekleństwo i następnie, po równie krótkim wahaniu, odskoczył rygiel i drzwi otwarły się na szerokość pięści. W szparze błysnęła para oczu i, zlustrowawszy gościa, zniknęła. Drzwi zaskrzypiały i otwarły się na całą szerokość, lecz kiedy tylko nieznajomy przekroczył próg, ponownie z łomotem wróciły na swoje miejsce, bo wiatr właśnie wznowił swój atak. Kaganek trzymany przez karczmarza, z którego zmęczonej twarzy patrzyła niepewność, nieznacznie zbliżył się w kierunku twarzy gościa.

– Zaopiekuj się moim koniem – rzekł obcy niskim, przyjemnym głosem, z którego emanowała pewna władczość. Zawtórował mu brzęk monet. – Szukam też noclegu.

– Tak jest, łaskawy panie. – Karczmarz skłonił się zgrabnie, a na wargi wypłynął mu służalczy uśmiech. – Wszystko dla łaskawego pana.

Z głębi sieni, niczym duch, wyłonił się chudy chłopak i szybko zniknął za drzwiami. W tym czasie nieznajomy, kierowany szerokim gestem kłaniającego się w pas właściciela lokalu, wszedł do wielkiej izby, pełnej gwaru rozmów, śmiechów oraz zapachu czosnku i piwa. Przybysz odrzucił kaptur z czoła i przez chwilę rozglądał się uważnie po otoczeniu; kilka par oczu utkwilo w nim zaciekawione spojrzenia. Najwidoczniej dostrzegł to, czego szukał, bo z błyskiem w oku ruszył pewnym krokiem przed siebie. Przeszedł pomiędzy stołami, omijając gadających jeden przez drugiego, wymachujących rękami podpitych gości. Przy ułożonym w najodleglejszym kącie sali stole, u którego się zatrzymał, siedziało tylko trzech ludzi. Dwóch rozmawiało z cicha, usadowionych naprzeciw siebie, trzeci siedział osobno na drugim końcu, przy ścianie, odwrócony plecami do rozbawionego towarzystwa.

Obcy stał tak jeszcze chwilę, jakby się namyślając, po czym zdecydowanym krokiem obszedł stół. Kiedy tamten podniósł znudzony wzrok znad tkwiącego przed nim drewnianego kufla, przybysz spostrzegł, że był to młody człowiek o długich, opuszczonych włosach koloru złota i pociągłej twarzy o mocnych rysach. Głęboki błękit oczu był widoczny nawet przy tak złudnym oświetleniu, jakiego dostarczały umieszczone na stołach kaganki, a po lewej stronie twarzy, od kości policzkowej w dół do zaostzonego podbródka, biegła szeroka szrama, która nadawała jego młodzieńczej twarzy nienaturalnie surowy wygląd. Kaftan, nie nowy już, lecz czysty i zadbany, miał sznurowane rzemykami rozcięcie do mostka, uwidaczniające kawałek szerokiej klatki piersiowej.

Młodzian w tym czasie również przyjrzał się nieznajomemu – czarne włosy, takiego samego koloru spiczasta bródka, podkreślająca jeszcze bardziej ostre rysy trójkątnej twarzy i błyszczące żywo oczy koloru nocy – po czym pograżył się na powrót w rozmyślaniach.

– Nie macie nic przeciwko temu, panie, że się przysiędę? – zagadnął przybysz przyjacielskim tonem.

– Szczerze mówiąc, wolałbym zostać sam – wymruczał tamten ledwo słyszalnie poprzez gwar w odpowiedzi.

– Jak widzę, nie jesteście dzisiaj w najlepszym nastroju, panie – zauważył obcy sadowiąc się na rozchybotanej ławie i błyskając bielą zębów w szerokim

uśmiechu. – Czyżby zawód miłosny? Kobiety znają sposoby jak najdzielniejsze serce obrócić w porcję galarety.

W tej samej chwili podeszła do nich młoda dziewczyna w poplamionym jedzeniu i wymiętym fartuchu, zapytując przybysza czego sobie życzył. Ten objął ją w pasie i głośno zamówił coś do jedzenia i dzban wina. Dziewka odeszła. Przemknęła pomiędzy stołami, podszczyrywana przez hałasujących biesiadników i zniknęła za drzwiami.

– Wino w tej karczmie nie jest najlepsze – stwierdził młodzian, przypatrując się czemuś z uwagą. Przybysz podążył za jego wzrokiem i napotkał swe dłonie, z których zdążył już ściągnąć rękawice, skrzyżowane w przegubach na stole. Na niemal każdym z palców miał pierścień zdobiony szlachetnym kamieniem.

– Różne świństwa zdarzało mi się już pić – stwierdził obcy, wzruszając ramionami, po czym oparł się plecami o ścianę. Miał stamtąd doskonały widok na całe pomieszczenie.

– Zawsze tu tak tłoczno? – rzucił po chwili.

Młodzieniec, który zdążył już wrócić z powrotem do smętnego wpatrywania się w kufel, spojrział na niego podejrzliwie.

– Jak to, nic panie nie wiecie? Jutro zaczyna się tu turniej. Zresztą. – Nieznacznie machnął ręką. – Wielki tam turniej. Paru osiłeków potłucze sobie łby ku uciesze tłumu, potem wszyscy zgodnie się zaleją i koniec na tym.

Przybysz rzucił mu badawcze spojrzenie.

– Będiesz, panie, brał w tym udział? – zapytał, choć właściwie nie brzmiało to wcale jak pytanie, po czym pochylił się nad stołem, opierając łokciami.

– To ciekawe. Mówisz: turniej. Bardzo chciałbym się temu przyjrzeć. Tam, skąd pochodzę, turnieje to wspaniałe widowiska, na które zbierają się ogromne tłumy. Z twojego krótkiego opisu wnoszę jednak, panie, że tutaj odbywa się to w sposób, powiedziałbym, okrutnie mało poetycki.

– A z jakich to stron, jeżeli wolno zapytać, przybywasz, panie? – zapytał tamten mrużąc oczy.

– Z Ostelgoth.

– No tak, twój akcent rzeczywiście jest nieco dziwny – stwierdził młody człowiek po chwili, ze zdziwieniem unosząc brwi. – Ale jak na kogoś stamtąd,

to naszym językiem władasz stanowczo za dobrze. Od kiedy to uczą tego języka w tym dalekim kraju?

– Moja matka pochodziła z tych stron. Kochała swój kraj i zawsze chciała tu wrócić, ale nie było jej to przeznaczone. Tak mówiły gwiazdy, a gwiazdy, jak wiadomo, nigdy nie kłamią. Na krótko zanim odeszła nakazała mi przyrzec, że odwiedzę jej rodzinny kraj w jej zastępstwie. I oto jestem, chociaż, prawdę mówiąc, wcale się do tego nie paliłem. Ale nie żałuję.

W tejże chwili nadeszła dziewczka i postawiła strawę i wino przed obcym. Przybysz wyciągnął z sakiewki dwie monety, chwycił dziewczynę za rękę, przyciągnął do siebie, wręczając zapłatę i coś przy tym szepcząc do ucha. Błyszczące od potu policzki dziewczyny pokryły się rumieńcem. Kiwnęła nieznacznie głową, przyjęła jeszcze jedną monetę z rąk obcego i szybko zniknęła wśród gwizdów, okrzyków i podszczypywań. Nieznajomy uśmiechnął się do młodzieńca szeroko.

– Wybacz, panie, mą śmiałość – rzekł jowialnie, nalewając sobie hojnie wina do glinianego kubka. – Ale czy miałbyś coś przeciwko temu, abyśmy zaczęli mówić sobie po imieniu? Lubię grzeczności, ale bez przesady.

– Jestem Hal el Estel – wyrzekł sakramentalnie, unosząc naczynie.

– Kedres – przedstawił się młodzian, stukając swoim kuflem o kubek obcego, uważając przy tym, by nie rozlać zbyt wiele, dzięki czemu nie zauważył krótkiego błysku w oczach tamtego.

– Powiedz – zagadnął, ocierając usta wierzchem dłoni. W jego głosie pojawiło się pewne ożywienie. – Jak ci się tu podoba?

– Szczerze?

Kedres skinął głową.

– Bardzo. Mieszkańcy kochają obcych – takich jak ja – podczas gdy swojego rodaka chętnie poczęstowaliby nożem za to, że na przykład ma lepsze buty od nich, lub wyśmialiby za to, że ma gorsze. Może dlatego tu tak w cenie jest przeciętność? Bez przerwy ktoś mnie pyta, skąd jestem i jak tam dojechać. Co tu się dzieje, he? Wszyscy chcieliby stąd uciec, czy jak? Każdy na każdym kroku próbuje mnie oszukać, choćby nawet na tym nic nie zyskał. Czy tu prawo karze za mówienie prawdy? No i te smętne twarze, jakby tu zakazany był śmiech. Aha, byłbym zapomniał – koń, na którym przyjechałem

do tego grodu jest już trzeci z kolei. Dwa poprzednie mi ukradziono; jednego ktoś zwinął, jak stał przywiązany przed budynkiem straży grodowej. Mimo tego piękno tej ziemi jest prawie magiczne. Ona czuje krew mojej matki, którą mam w żyłach i wzywa mnie, woła cudowną urodą gór i dolin, lasów i rzek. Teraz już chyba rozumiem, dlaczego matka tak tęskniła całymi latami.

Kiedy skończył, młodzian przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z nieodgadzionym wyrazem twarzy, stukając palcem o kufel.

– Łatwo ci przychodzi wydawanie sądów – rzekł po chwili z westchnieniem, zmęczonym głosem. – Ale co ty możesz wiedzieć o tym, co tu się dzieje? W tym kraju przez wiele lat rządziły złe siły, które zasiały truciznę w słabych umysłach. Te rany goją się powoli, w miarę jak odchodzą ci nią skażeni. Jednak jest obawa, że nie koniec na tym, bo podobno grozi nam jeszcze gorsza zaraza z zupełnie innej strony. Kto wie, co przyszłość niesie? Aby być na nią gotowi potrzebujemy dobrego przywódcy, dobrego przykładu z góry, a tam tylko kłótnie i osobiste porachunki; złodziejstwa, morderstwa i oszustwa. Nikogo takiego na razie nie widać, lecz w końcu pojawi się, podobno. Tak przynajmniej mówi legenda.

Przybysz nastawił uszu.

– Jaka legenda? – zapytał, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

– Sam dokładnie nie wiem, ale podobno ma pojawić się ktoś, kto w obliczu ostatecznej zagłady wygra bitwę z siłami ciemności – dodał Kedres, sięgając po kufel. – Ma potem spokojnie rządzić przez trzydzieści szczęśliwych lat.

– Nie wierzysz w to znanadto, hę?

Młodzian pokręcił przecząco głową, opróżniając naczynie do reszty.

– To bzdura wymyślona przez jakiegoś pijanego poetę. Nie powtarzaj jej nikomu, bo cię wyśmieje i popuka w czoło. Tutaj nikt nie myśli o takich rzeczach, tylko o tym, jak się wzbogacić kosztem drugiego. Gotowi są wydać cały kraj wrogom, byle tylko napchać sakiewkę. Gdzie tu znaleźć kogoś takiego? Tylko naiwni dają wiarę tej legendzie. Z drugiej strony jest kilku, którzy wierzą, że ten kraj jeszcze kiedyś podniesie się na nogi.

Nie zauważył, że tamten przyjrzał mu się uważnie.

– A co z waszym obecnym władcą? Wydaje się być właściwą osobą na właściwym miejscu.

Młody człowiek pokazał na to zęby w ironicznym uśmiechu.

– Tak też wszyscy myśleli, ale tylko do czasu. Jak wielu przed nim tak i on również polegnie zaplątany w spiski i intrygi. Jeden człowiek nic tu nie zdoła. Potrzeba lat spokoju i normalności, a na to się nie zanoszą.

Obcy w zamyśleniu przeżuwał przez chwilę zasłyszane informacje. Krzywy uśmiech wypełził mu na twarzy.

– Powiedz, jak to jest z tymi turniejami? – zagaił w końcu, zmieniając temat i dolewając sobie wina. – Krew pewno chlusta jak woda z rynny, a głowy spadają jak dojrzałe jabłka?

– Tak też większość sądzi – odparł młodzian z niechęcią i pasją, która przekreślała jego wcześniejsze słowa. – Myślą, że wszyscy biorący w tym udział to darmozjady i bezrozumni głupcy, ryzykujący swe życie dla nędznych paru groszy. Tak się jednak składa, że większości uczestniczących chodzi wyłącznie o to, by doskonalić swoją sztukę.

listopad 1993 – kwiecień 1994

opublikowane w magazynie Avatae 3(27) 2005

GLENNEN YRYATH

Płynęliśmy szybko. Wiał dobry, mocny wiatr który nam sprzyjał, ciągnąc wprost ku wybrzeżom Glennen Yryath i innym wyspom archipelagu Eber. Glennen Yryath – wyspa władzy i śmierci. Od wielu lat nikt nie przemierzał tych wód w poszukiwaniu Imib Nan, legendarnej korony władzy, pożądaney w zamierzchłych czasach jednako przez wszystkich: od królów po włóczęgów. My byliśmy pierwsi – trzy okręty brodatych wojowników z Tardeyi, ładumatki najślawniejszych piratów okolicznych mórz. Płynęliśmy szlakiem wytyczonym przez od dawna już martwych, podobnych nam głupców, których niepotwierdzona, lecz pewna i niechybnie straszna śmierć z pewnością ucieszyła przekłętą Mor Kelet, potworną władczynię korony. Teraz cieszyła się znowu, bo oto przybywał nowy transport ofiar. Znowu będzie piła krew. Dużo krwi.

Tam oto na dziobie naszego okrętu, „Mokrego Topora”, którego imię przypawiało o drżenie nóg kapitanów wszystkiego co pływa, stał ten, który wienien był temu szaleństwu. Owinięty w skórzany płaszcz wypatrywał swojego przeznaczenia. Czarnowłosy, ciemnooki, wysoki jak wieża – nie był jednym z nas. Podobno pochodził gdzieś z południa. Kazał zwać się Jafgar. Nilfor, jedyny, który z nim rozmawiał, wyjawiał mi to pewnej nocy, kiedy otworzył ostatnią beczkę wina z Matanii. On mu wierzył, temu przybłędzie. Uwierzył w legendy o nieprzebranych skarbach, schowanych wraz z koroną w świątyni Mor Kelet. Jafgar nie chciał skarbów. Chciał ogromnej władzy jaką, według legend, miał objąć posiadacz Imib Nan. Wystarczyło, że raz jeden spojrzałem mu w twarz i natychmiast to z niej wyczytałem. On był szalony, a jego szaleństwo powoli obejmowało także nas. Nawet Nilfor, zawsze opanowany

i spokojny, miał w oczach dziwny blask, który z każdym dniem, z każdą chwilą potężniał. Kiedy jednak błagałem go, by pozwolił mi zabić tego psa, który prowadził nas na pewną zgubę, nazwał mnie głupcem. Cóż mogłem zrobić – byłem tylko wiernym sługą, psem, niewolnikiem.

Nilfor kiedyś, podczas pożogi i mordy, ocalił mi życie, kiedy dumny ród Tardaala, mojego ojca, odchodził w niepamięć dziejów pod bezlitosnymi toporami klanu Borgha Żelazna Tarcza. Zginęła wtedy również moja matka; nie pamiętam jej wcale, ale to po niej mam piętno niewolnika. W pamięci mam jedynie krzyki, ogień, krew i spryskany nią płaszcz Nilfora, kuzyna Borgha, którym to płaszczem osłonił mnie, małego chłopca, przed nie szczędzącą nikogo masakrą. Dlatego teraz, czuwając przy jego posłaniu, modliłem się do bogów, aby moja śmierć pomogła mu ujść z tego cało.

Następnego dnia pogoda zmieniła się, wiatr ustał. Chwyciliśmy za wiosła. Nasz wódz stał między nami i głośno zachęcał do trzymania szybkiego tempa. Dał dwie pełne zmiany, cały czas wydając okrzyki zachęty i żartując. Wojownicy nabrali humoru. Takim go znali, takiego kochali. Poszliby za nim wszędzie, nawet Mor Kelet nie wydawała się już taka straszna. Dobrego nastroju nie mogła zniweczyć nawet samotna, nieruchoma postać na dziobie okrętu.

Następny dzień nie przyniósł zmiany. Pracowaliśmy przy wiosłach na zmianę, z krótkimi odpoczynkami. Wiatr zerwał się dopiero pod wieczór, jednak wiał w przeciwną stronę, jakby zmienił zamiar i postanowił nas przepędzić. Nilfor długo rozmawiał z Jafgarem, widziałem jego spoważniałą nagle twarz. Potem nasz wódz pozostał na dziobie, a obcy, po raz pierwszy odkąd pamiętałem, udał się na spoczynek. Atmosfera nagle stała się gęsta. Co bardziej przesądni wojownicy soplali za burtę. Kilku pochyliło głowy w cichej modlitwie. Tam, przed nami, w zapadającym mroku była Glennen Yryath, przeklęta wyspa.

Zobaczyliśmy ją kolejnego dnia w południe. W słońcu wyglądała przyjaźnie, niemal gościnnie. Nastrój załogi poprawił się ponownie. Kilku nawet żartowało, że może Mor Kelet umarła już z nudów i głodu. Paru się zaśmiało. Nilfor się nie śmiał. Jafgar patrzył jak urzeczony i był z czegoś bardzo zadowolony.

Pod sam wieczór zerwała się łagodna bryza, która spychała nas nieco z kursu, ale obcy wydawał się być tym zachwycony. Nawet Nilfor uśmiechnął się lekko. Najwidoczniej wiedzieli coś, o czym nie powiedzieli innym. Zastanawiałem się, ile jeszcze takich tajemnic trzymali w zanadrzu.

Dobiliśmy do brzegu kiedy Manta, srebrna tarcza bogów, była w połowie swej wędrówki po nakrapianym gwiazdami niebie. W jej wątłym blasku stanęliśmy na skałach. Nasze trzy okręty – patrząc na nas w zamyśleniu, kołysząc się na falach – nigdy chyba jeszcze nie wydawały się tak bliskie i przytulne. Kazano zapalać pochodnie. Uwe domagał się wyjaśnień, jak zwykle. Ciskał błyskawice z oczu, co chwila rzucał wściekłe spojrzenia to na Jafgara, to na swego przywódcę. Był tchórzem, ale inteligentnym i podstępny. Nie dowierzał obcemu, nie wierzył też Nilforowi. Był kapitanem jednego z okrętów i tylko jedno powstrzymało go przed próbą obalenia wodza: ja.

Nalegania Uwego obudziły Jafgara ze snu. Po raz pierwszy przemówił do wszystkich. Mówił z silnym akcentem, którego nie potrafiłem rozpoznać. Powiedział, że niedaleko stąd ma znajdować się osada tubylców, czcicieli Mor Kelet. Lud to bardzo drapieżny i niebezpieczny.

Wojownicy odetchnęli, kiedy dowiedzieli się, że mają walczyć przeciwko istotom z krwi i kości. Jednakże później, kiedy szliśmy przez nakryty całunem nocy las, czułem wyraźnie ich strach, śmiertelną obawę przed nocnymi demonami i, na wszystkich bogów, ja też drżałem w tej przeklętej głuszy.

Poruszaliśmy się w kolumnie. Co trzeci wojownik niósł trzeszczącą pochodnię. Po pewnym czasie do naszych uszu dobiegł daleki, rytmiczny dźwięk, który z każdą chwilą potężniał. Po chwili rozpoznaliśmy w nim bicie bębnów.

Kiedy pochód wreszcie stanął, przez szereg przebiegł szmer. Byliśmy na miejscu. Nilfor kazał wszystkim zasłonić pochodnie i czekać. Sam razem z obcym ruszył na zwiady. Ja oczywiście poszedłem także. Byłem jego cieniem.

Przedzieraliśmy się przez gąszcz po omacku, w zupełnych ciemnościach. Dźwięk towarzyszył każdemu naszemu krokowi, a po chwili oprócz bicia bębnów mogliśmy rozróżnić gardłowe śpiewy.

Gdy podeszliśmy bliżej naszym oczom ukazał się blask wielu ognisk. Zobaczyliśmy chaty, ustawione półkolem otwartym w stronę oceanu, na brzegu którego stała osada. Na tle ognisk, pomiędzy chatami, migały tańczące w rytm bębnów sylwetki. Były odziane w kolorowe stroje ozdobione piórami ptaków. Niektórzy mieli na głowach strojne pióropusze, ale wszyscy, bez żadnych wątpliwości, byli ludźmi. Widziałem niewysłowioną ulgę w oczach naszego wodza kiedy posyłał mnie z powrotem po swoich wojowników.

Chciałem wyjść na nich niespodziewanie, jak kot, spróbować postraszyć. Jednak dobrze się stało, że tego nie zrobiłem, bo ani chybi ległbym z rozłupaną toporem czaszką. Byli półżywi ze strachu. Niektórzy poruszali ustami w cichej modlitwie do Kalfara, jedyne boga ludzi mórz.

– Słyszeliśmy demony, jak targowały się o nasze skóry – warknął Uwe.

Aż do tej chwili byłem pewien, że Nilfor popełnił błąd, idąc samemu na zwiad. Patrząc jednak w oszalałe ze strachu oczy jego uzurpatora wiedziałem już, że pozycja wodza nie była w niebezpieczeństwie.

Poprowadziłem ich tedy do osady, każąc wprzód zgasić wszystkie pochodnie. Nilfor rozprosił wojowników wokół półpierścienia chat. Ścisnęliśmy broń w rękach i czekaliśmy na sygnał do ataku. Zanim to jednak nastąpiło, usłyszałem ciche przekleństwo. To kłął obcy.

– Każ swym ludziom rąbać dziury w chatach – wyszeptał do Nilfora z szeroko otwartymi oczami. – Nie pozwól im przechodzić pomiędzy chatami.

Nasz wódz miał zdumienie w oczach, kiedy wydawał rozkaz. Jafgar nie próbował niczego wyjaśniać.

Skraj lasu od chat dzielił skrawek pustej przestrzeni. Nalam huknął jak sowa w umówionym sygnale i ta pusta przestrzeń, oświetlana przez srebrzystą Mantę, zaroila się od cieni. Na wszystkich bogów dalekiej północy, ile szarpiącego flaki piękna miał w sobie ten widok. To piękno skradającego się, groźnego drapieżnika.

Zaczął się przebijanie ścian. Chociaż czułem, że wojownicy ni w ząb nie mogli pojąć tej dziwnej ceremonii, nie próbowali złamać rozkazu. Ściany były zbudowane z powiązanych ze sobą trzcina drewnianych, cienkich bali – śmiech dla ciężkiego, bojowego topora. Dwa uderzenia i już byłem w środku.

Sądziłem, że zaraz podniesie się wrzask, ale chata była pusta. Za mną wkroczyli Nilfor z ogromnym toporem w ręku i obcy, bez broni.

Bez zastanowienia wyskoczyliśmy z drugiej strony chaty. Jafgar chyba został z tyłu, ale w tamtej chwili zapomniałem o jego istnieniu. Przed sobą widziałem ludzi, dzikusów w barbarzyńskich strojach. Słyszałem pierwsze okrzyki przerażenia i czułem ciężar głodnego krwi topora w rękach. W moich żyłach popłynęła żądza mordy. Wszystkie myśli uciekły gdzieś, zostawiając miejsce tylko dla jednej: „Zabij!”. Obok mnie biegła grupa podobnych, owładniętych bojowym szałem istot. Byliśmy jednym, gnany żądzą krwi drapieżnikiem dopadającym swego łupu.

Biegając jeszcze usłyszałem dochodzący skądś głośny trzask i wrzask bólu – pewnie ktoś nie wytrzymał i nie posłuchał rozkazu. Co jednak przydarzyło się nieszczęśnikowi było zagadką, której rozwiązanie musiało poczekać na bardziej sprzyjający moment.

Potem wszystko zlało się w jedno: krzyki i jęki, świst stali, ohydny chrzęst pękających kości i drażniący zapach świeżej krwi, który jeszcze bardziej podniecał rozszalałe zmysły. Starłem się z pierwszym przeciwnikiem: niskim lecz dobrze zbudowanym tubylcem odzianym w ptasi strój. Z szaleństwem w oczach wymachiwał długą, zdobioną włócznią, ale nie miał żadnych szans – różnica sił była zbyt wielka. Naparłem na niego tarczą, na odlew uderzyłem toporem i było po walce.

Następny, który mnie zaatakował, był bez broni. Wrzeszcząc coś dziko wyładował mi na plecach i zaczął gryźć gdzie popadnie. Wpadając w prawdziwą wściekłość złapałem go za włosy, zdarłem z siebie i prawie rozplatałem na dwoje.

Na wszystkich bogów: to była kobieta!

Kątem oka widziałem innych walczących, unurzanych we krwi, wzywających Kalfara. Widziałem jak Uwe, siejąc naokoło śmierć swoim długim obojczykowym mieczem, którym godzinami mógł tak machać bez wysiłku, potyka się i upada, i jak opadają go niskie, podobne ptakom sylwetki. Widziałem Nilfora śpieszącego mu na pomoc, z czerwonym od krwi toporem i wściekłym rykiem. Widziałem wiele. Nawet wtedy, gdy było już po wszystkim, wciąż widziałem mężczyzn, kobiety i dzieci rąbane na kawały, zabijane jak zwierzęta

rzeźne. To było we mnie, na zawsze już. Rzygałem. Zawsze rzygałem, ale nigdy nie mogłem się powstrzymać. Ciągnęło mnie do tego jak wieprza do rzeźni. Moja przeszłość. Moje przekleństwo.

Kiedy w końcu doszedłem do siebie, dostrzegłem stosy porąbanych ciał i kupę dymiących zgliszcz, która jeszcze niedawno była chatą. Świtało. Ogni-ska tliły się jeszcze. Wojownicy stali zgromadzeni w kręgu. Podeszedłem bliżej. Dwóch z nich trzymało kobietę, która wrywała się im jak drapieżne zwierzę. W końcu zmęczyła się bezowocnym oporem i znieruchomiała, dysząc. Była młoda, czarnowłosa pięknoscia, a jej strój wskazywał, że mogła być kapłanką. Zapewne czuła żądze mężczyzn patrzających na jej skąpo osłonięte wdzięki, ale nie okazywała strachu, tylko wściekłość i pogardę.

– Wy przeklęte psy! – zawyła.

– Skąd znasz nasz język?! – huknął nasz wódz po chwili ogólnego zdumienia.

– Takich jak wy składaliśmy w ofierze świętej Mor. Przyżywiali tu po skarby i sławę, przekłęci głupcy, a kończyli na ołtarzu, dławiąc się własną krwią. I wy też tak skończycie, wasza krew ucieszy naszą Panią.

Sanowar nie wytrzymał. Podeszedł i uderzył drżąca od histerycznego śmiechu kapłankę pięścią w twarz. On nigdy nie umiał zachować się wobec kobiet. Jafgar szepnął coś Nilforowi do ucha. Czarnowłosa pięknosc nie śmiała się już.

– Zaprowadzisz nas do niej! – ryknął wódz Tardeyczyków kobiecie prosto w twarz. – Wtedy zobaczymy, kto będzie się dławił krwią.

kwiecień 1988, maj 1995

opublikowane w magazynie *Esensja* 8(50) 2005

PARK

Jarosław W. nie był człowiekiem, który łatwo ulegał strachowi. Jednakże, ilekroć wracał z pracy nocą poprzez ciche, ciemny i zupełnie opustoszały o tej porze miejski park, jego serce łomotało, jakby chciało wyłamać żebra, wyrwać się na wolność i uciec czym prędzej, krzyżąc z przerażenia.

Pracę tę W., świeżo dyplomowany informatyk, otrzymał niedawno. Właściwie był to przypadek: ktoś zwalniał się, bo wyjeżdżał za granicę, kolega go polecił. Na rozmowę z pracodawcą szedł na miękkich nogach. Obok prezesa firmy siedział brodac w okularach, w którym przecucie Jarosława natychmiast rozpoznało doświadczonego programistę. Brodac zadawał pytania, W. odpowiadał, co chwila jękając się i pocąc obficie. Zdawało mu się, że cała jego wiedza ulotniła się gdzieś nagle i w głowie został tylko szum. Był pewien, że nie odpowiedział poprawnie na żadne z pytań. Na koniec kazali mu wyjść na parę minut na korytarz. Jarosław ochłonął nieco i zrezygnowany machnął ręką, ale kiedy ponownie wszedł do środka, powitały go uśmiechy.

Dostał pracę.

Najbardziej cieszyła się żona. Była w ósmym miesiącu ciąży, a oni dalej mieszkali w jednym pokoju u jej rodziców. Marzyli też o samochodzie, ale na razie chodził do pracy piechotą. Nie było daleko, a oszczędzać trzeba. Z początku chodził okreśną drogą, chodnikiem wzdłuż drżającej od tirów przelotowej do stolicy województwa, lecz pewnego dnia doszedł do wniosku, że parkiem było o wiele krócej. Wystarczyło przejść przez skrzyżujący, wiszący most, pokonać zbocze, po którym piał się park i już był u celu.

Żona z początku była zadowolona, że powrót do domu zajmuje mu tylko dziesięć minut. Robert też by się pewnie cieszył, ale zawsze spał już, z buzią wtuloną w pluszowego misia. Jednakże którejs soboty oglądali horror w telewizji, późno w nocy. O wilkołaku, który nocami rozszarpywał ludzi i pił ich krew. W. kpił głośno z prostackości filmu i tanich efektów specjalnych, żona jednak co chwila piszcziała i podskakiwała ze strachu w szczytowych momentach. Śmiał się z jej naiwności.

W poniedziałek, kiedy przyszedł do domu po pracy, zobaczył jej wystraszoną twarz. Prosiła go, by nie wracał tak późno; żeby na siebie uważał. Jej nalegania zaskoczyły go i nieco rozdrażniły. Powiedział, że ma obecnie mnóstwo pracy, a potem długo w noc tłumaczył, że niepotrzebnie się martwi; że nie nosi przy sobie pieniędzy, a poza tym ich miasto zawsze należało do spokojnych, nawet w tych niebezpiecznych czasach. Wyśmiewał jej wiarę w wilkołaki i inne podobne bzdury.

Uwierzyła, zasnęła. Jarosław jednak długo nie mógł pójść jej śladem. Leżał, patrząc w sufit, wsłuchując się w dzwoniącą w uszach ciszę, płynącą przez uchylone okno. Próbował wyłowić z niej najcichszy szmer i szelest. Po tem długo stał w oknie i patrzył na plamę parku, ziejącą niezgłębioną czernią na tle rozgwieżdżonego nieba. Księżyc świecił mu prosto w twarz.

Niedługo pełnia, pomyślał.

Maj 1994

opublikowane w magazynie Science Fiction 37 (2004)

BALATON

W ciasnej kabinie było gorąco i pachniało rozgrzanym plastikiem, jak w nowym samochodzie. Nic dziwnego – ta kapsuła była w użyciu po raz pierwszy. Starszy, tani model do lądowania na planecie z atmosferą. W małym okienku widokowym naprzeciw twarzy Eniko widziała jedynie błękit nieba i kilka postrzępionych białych obłoków w oddali. Gdyby sądzić według nich to zdawałoby się, że w ogóle się nie porusza.

Prawie nie trzęsło i nie obracało, a to przez dobre wyważenie. Kapsuła była walcem długim na trzy metry i szerokim na półtora. Większą część ciasnej kabiny wypełniała wygodna kozetka, do której Eniko była przypięta pasami, skrzypiąca przy każdym drgnięciu pojazdu. Zajmowała pozycję prawie pionową, ale pod biodrami kozetka kończyła się krótką wypustką, dzięki czemu pasażerka nie zwisała na pasach jak marionetka na sznurkach, lecz w miarę wygodnie siedziała. Od środka walec zdawał się być przekroju prostokąta – po bokach Eniko miała luki bagażowe, otwierane na zewnątrz, wypełnione ciasno sprzętem badawczym i żywnością – tubkami kolorowej wysokokalorycznej papki. Po tym, jak Pająk bezbłędnie wypuścił kapsułę w atmosferę planety i spalił się w niej, leciała prosto w dół jak armatnia kula, zasysana przez grawitację jak oranżada przez słomkę.

Co to za geniusz wymyślił, żeby cały front zrobić ze szkła? Przecież można dostać ataku serca, pomyślała, chociaż przed chwilą sama otworzyła kokon ochronnych łusek antyszokowych, ponieważ oczywiście chciała widzieć jak najwięcej. To był dopiero jej drugi zrzut w kapsule, nie licząc czterech treningowych, i pomimo trzydziestu kilku skoków na spadochronie nie czuła się

zbyt pewnie. Po prostu leciała zbyt szybko, czując, jakby ta nieznana planeta chciała ją połknąć. Wydawało jej się, jakby nie miała nad niczym kontroli, co właściwie było prawdą. Niektórzy lubią ten krótki moment swobodnego spadania, zanim otworzy się spadochron, czas pędu i świstu powietrza w uszach, które rozdyma ci policzki jak baloniki i robi z twarzy kawałek targanego wiatrem płótna. Lecisz wtedy jak pocisk, kawałek nieożywionej materii, który czym prędzej wraca do swej matki Ziemi. Eniko nigdy nie lubiła tej części skoku. Wolała te chwile kiedy, już po otwarciu spadochronu, płynęła dostojnie w powietrzu jak orzeł po swym królestwie. Natychmiast odprężała się, opuszczały ją nerwy. Rozglądała się na wszystkie strony, rozkoszując wspaniałym widokiem. Wtedy dopiero rozumiała, dlaczego niektórzy ludzie kochają skakać...

To nie była Ziemia, a ona nie szybowała na spadochronie, tylko spadała z prędkością 70 metrów na sekundę ku nieznanej planecie, którą nadprędcę z Tiborem ochrzczili Balaton. Po prostu za dużo tu było błękitu, aby nazwać ją inaczej. Kto wie, może nawet nazwa się utrzyma, bo na pewno lepsze to niż P-DP-02 pod jakim figuruje w dokumentacji. Jako ekipa odkrywców mieli prawo nadać planecie nazwę stosownie do swojego upodobania, ale potem musieli uzasadnić swoją decyzję wobec komisji, która mogła ją przyjąć lub odrzucić.

Powierzchnia planety zbliżała się w błyskawicznym tempie. Eniko obserwowała jak ogromna błękitna kula pod jej stopami stopniowo traci kształt, rozlewa się i pochłania ją jak wielki wodny wir. Już wypełniała cały bąbel obserwacyjny pod jej stopami.

Spojrzała na skromny pulpit: na małym ciekłokrystalicznym ekranie widniało kolorowe, niskopikselowe graficzne przedstawienie jej kapsuły, które obracało się dookoła na białym tle. Tibor, jakby czytając w jej myślach, ustawił opcję językową na francuski. W prawym górnym rogu migąło na zielono słowo „bien”. Jak „bien”, to bien. W lewym dolnym rogu szybkościomierz wariował, rozmazane cyfry nie mogły się zdecydować, co pokazać. Obok termometr wewnętrzny natomiast ukazywał niezmiennie 27.5 stopni Celsjusza. Dziwne. Czują jakby było co najmniej o dziesięć stopni więcej. Dobrze, że to pudło ma chociaż jakąś izolację termiczną. Spróbowała przełknąć ślinę, ale

w gardle było sucho, jakby maszerowała przez Saharę, fałdy w podniebieniu sterczały jak rybie skrzela.

Altimetr odliczał metry równym ciągiem. Jeszcze 3 kilometry? To niemożliwe, na pewno się popsuł, do powierzchni nie było więcej jak 10 metrów. Rozbije się, to już koniec.

Jakie ciśnienie? 63 kPa i wzrasta? Już czas. Na malutkiej klawiaturze pod ekranem nacisnęła klawisz „Parachute”. Ekran zapiszczał, szarpnęło, na moment zawisła na pasach aż zaboląło. Dobrze. Rozwinęły się wszystkie cztery, bo nie szarpie, nie wiruje i nie znosi. Kapsule na ekranie wyrosły z tyłu cztery kolorowe czapeczki udające spadochrony.

Wróciło myślenie, wróciła radość. Leci na największą przygodę swojego życia! Leci odkrywać nową planetę.

Rozejrzała się już swobodnie dookoła. Z siatkowej kieszeni na ścianie wyciągnęła laptopa. Ekran zapłonął i ukazał skurczoną zmartwieniem twarz Tibora, a za nią wewnątrz kabiny sterowniczej statku badawczego Unii Europejskiej „Thege”.

– Zaczynałem się już martwić – zaczął, siląc się na przyganę.

– Głuptasie – zaśmiała się.

Natychmiast się rozchmurzył. Uwielbiał jej śmiech. Potrafiła tym przepędzić jego najgorsze humory.

– Jak ci się leciało, łobuzie? – zapytał, próbując jeszcze marszczyć brwi.

Czekaj, pomyślała, ja ci dam fochy. Czowała wielką euforię, coś jakby rozlewało się po niej zaczynając od piersi, jakieś uczucie wolności i swobody jakiego już nie doznała od dawna. Coś w niej pękło, dni i tygodnie stresu i nerwów w końcu musiały dać taki efekt. Wiedziała już, że warto było. Co za wspaniałe uczucie, doczekać takiego momentu i zrywać owoce swojej ciężkiej pracy.

– Ale tu pięknie, mówię ci, Tibor. Po prostu pięknie.

Uśmiechał się z zadowoleniem, słysząc radość w jej głosie, ale w oczach miał tę samą troskę, co przed startem kapsuły.

– Znosi cię na południowy wschód. – Patrzył w bok na monitory pokładowe.

– To nic. – Machnęła ręką. – Gdzieś wyląduję.

Balaton była drugą planetą gwiazdy Delta Pavonis, oddaloną od niej średnio o 167 milionów kilometrów. Była 0.987 masy Ziemi, doba trwała tu 22.3 godzin, rok 395 dni. Cała pokryta była oceanami. Nie było tu ani jednego lądu większego powierzchniowo od Irlandii, lecz jedynie tysiące małych wulkanicznych wysepek, rozsianych po całym globie. Dzięki bezzałogowej sondzie „Esterhazy” dowiedzieli się, że na Balatonie istnieje życie. Na wyspach flora reprezentowała się imponująco. Zgodnie z przypuszczeniami, zdołali zaobserwować zapowiedź niezwykle bujnego życia w oceanach: jakieś motylopodobne ryby wyskakujące na kilka metrów ponad powierzchnię wody na dalekiej północy w czymś, co wyglądało na rytualne gody, ławice niedużych płaskich ryb, jakieś krokodylopodobne kształty czające się pod powierzchnią. Co najważniejsze jednak, czym natychmiast wzbudzili sensację na macierzystym statku Unii Europejskiej „EU Copernicus”, prawdopodobnie odkryli także życie rozumne. Sonda przekazała zdjęcia istot humanoidalnych z kilku wysp wzdłuż równika.

Nie była to pierwsza planeta z istotami rozumnymi odkryta przez ludzi. Pierwsi byli już przecież Amerykanie na Nowym Waszyngtonie, okrążającym Alfa Centauri A, na którym odnaleziono tajemniczych Squatersów, wegetujących wśród ruin swojej wspaniałej cywilizacji. Mimo to odkrycie było wielkiej miary i z radością, przy otwartym szampanie, oglądali na okrągło niusy z Ziemi, gdzie byli tematem dnia. „EU Copernicus” wyraziła zgodę na wstępną eksplorację planety z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Na powierzchnię musiała udać się wyłącznie jedna osoba, zebrać kilka próbek i wracać. Tibor był pewien, że on pojedzie, ale ciągnęli losy i przegrał. Nie mógł się z tym pogodzić. Nie dlatego, że jej zazdrościł, przynajmniej nie tylko. Po prostu bardzo się o nią martwił, pomimo, że nie była jego żoną; nie była nawet narzeczoną – byli tylko parą węgierskich naukowców przydzielonych do statku Unii Europejskiej, wyposażonego na koszt ich państwa. Co z tego, że sypiali ze sobą? To nie dawało mu prawa, by jej zabronić lecieć. Nawet nie pozwoliła mu wypowiedzieć takiej myśli. Chwilę się do niej nie odzywał, potem mu przeszło. Kazał jej tylko być ostrożną.

– Bądź ostrożna, pamiętaj.

– Tibor, proszę cię, przestań. Wiesz dobrze, że to dla mnie największa życiowa szansa. Dziękuję ci, ale nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Mam wszystko, co potrzeba.

Przekomarzali się tak do końca, dopóki do powierzchni oceanu zostało jeszcze 100 metrów, przynajmniej według tego głupiego altimetru. Rozłączyła się i skupiła na lądowaniu. Na klawiaturze nacisnęła klawisz „Eau” pod sekcją „Atterrissage”.

Powierzchnia wody zbliżała się szybko. Rozróżniała już jej barwę: niebieski przemieszany z żółtawo-brudną zielenią. Nie było zbyt dużo widać. Tuż przed zanurzeniem zobaczyła jeszcze kilka rybopodobnych stworzeń z wielkimi głowami przy powierzchni, uganiających się za sobą. Potem kapsuła zapadła w brudną toń wśród gejzerów bąbelków powietrza. Cztery poduszki powietrzne, ułożone wzdłuż korpusu, przydatne przy wodowaniu, jak i lądowaniu, wystrzeliły, unosząc ją z powrotem na powierzchnię. Powoli, sterowana poduszkami, kapsuła obróciła się na właściwy bok.

Eniko ostrożnie zwolniła zabezpieczenia, wieko kabiny odskoczyło samo w górę wśród syku siłowników pneumatycznych. Oczy oślepił jej mocny blask Deltę Pavonis. Powietrze było wilgotne, gorące i gęste. Czując się bardzo uroczyście nabrała go w płuca. Świeże powietrze po miesiącach spędzonych w puszcze. Uśmiechnęła się. Miało zapach oceanu, czuła wilgotny powiew słonej wody. Ziemski Balaton pachniał zupełnie inaczej. No cóż.

Co teraz? Rozpięła pasy i wstała. Przeciągnęła się z rozkoszą i rozejrzała. Wokoło nic tylko bezkresny ocean. Ach tak, tam na zachodzie coś majaczy. Wyspa. Na północy są dwie, na wschodzie aż trzy, te są najbliżej. Usiadła i włączyła laptopa. Tibor, gdy ją zobaczył, zdenerwował się. Jadł właśnie swoje ulubione sucharki i zaczął pryskać okruchami.

– Czyś ty zwariowała? – rzekł jak mógł najsurowiej i zakrztusił się.

Eniko miała na sobie tylko białą podkoszulkę z małutkimi flagami Unii Europejskiej i Węgier na lewej piersi oraz cienkie, ortalionowe dresowe spodnie Adidasa.

– Sam mi przed startem wmawiałeś, że Balaton to prawie bliźniacza siostra Ziemi. Myślisz, że przyleciałam tu, aby paradować w skafandrze jak

idiotka? Chcę trochę użyć świeżego powietrza i nie wachać przez chwilę twoich bąków.

– Nie wyjdiesz z kwarantanny aż wrócimy na Ziemię! – krzyczał. – O ile uda ci się powrócić stamtąd żywa. Masz niedobrze w głowie, koleżanko. Ile ty masz lat? Dziesięć?

– Odczep się.

Nie była na niego zła – po prostu martwił się o nią. Na pewno był już zazdrosny, choć starał się tego nie ukazywać. Zaraz mu przejdzie.

– Ty to masz pomysły – zrzędził. – Wybierać się jak na majówkę w najgorszej z kapsuł. Sterowałaś chociaż lotem?

– Nie – odpowiedziała z uśmiechem. – Szkoda mi było paliwa.

– Ty jesteś nienormalna! – wrzasnął. – Po prostu otworzyłaś spadochrony i tyle? Właśnie widzę, że jesteś na środku oceanu. Złamałaś wszystkie spisane zasady Kodeksu i parę niezapisanych.

– Nie mamy pozwolenia na dokonanie kontaktu, zapomniałeś? Dlatego nie chciałam ryzykować.

– Ale to nie znaczy, że musisz się od razu utopić – aż podskoczył ze złości. – Przecież się umawialiśmy, że wylądujesz na tej małej, pustej wysepce, a ciebie zniosło o dobre trzydzieści kilometrów na południe.

– No i co teraz? – zapytał już spokojniej, widząc, że nie zwraca na niego uwagi, pogwizdując sobie i szperając za czymś.

– Na pewno mnie zauważyli i po mnie przyplyną. Liczę na ich ciekawość i nie chcę ich straszyć, przecież już ci mówiłam.

– Viel Glück.

Eniko miała jednak rację. Po krótkim oczekiwaniu dostrzegła na południu powiększające się kształty. Po chwili rozróżniała ludzkie, a właściwie humanoidalne sylwetki. Poinformowała o tym Tibora.

– Ale bagno – jęknął w odpowiedzi. – Wylecimy za to z pracy oboje, bądź tego pewna.

– Nie płacz.

– Zrób mi tę przyjemność i włóż chociaż górę kombinezonu. Tam jest kamera i będzie przesyłać na żywo. Niech przynajmniej zobaczą, jak cię usmażą i zjedzą.

– Dureń – rzekła, stosując się do jego porady.

– Przepraszam – spowaźniał, widząc, że nagle stała się spięta. – To głupi żart. Pamiętaj, w razie czego strzelaj i zamykaj się w kapsule. Mogą ci tam skoczyć.

Pokiwała głową i przypięła kaburę z bronią. Stary, dobry glock. Posłała Tiborowi buziaka i zgasiła laptopa. Kamerę razem z nadajnikiem miała wbudowane w naszywkę kombinezonu z niebieskim godłem Unii Europejskiej. Odbiornik założyła na ucho – nakładkę w tym samym kolorze na wewnętrzną część małżowiny. Trochę uciskała, ale za to prawie nie do wykrycia.

– Przestań się ruszać, bo nic nie widzę – gderał Tibor. – Tak, są. Zrobię zbliżenie. Ale nędzna rozdzielczość. Czy mogłabyś z łaski swojej tak się nie wiercić?

Zbliżali się ze śpiewem. Mieli przyjemne dla ucha, lecz nieco zbyt przesłodzone głosy. Tak jak chór malutkich dzieci. Brzmiałoby to niemal komicznie, gdyby nie jakaś ściskająca za serce nuta tęsknoty w tym śpiewie. Eniko ucieszyła się, kiedy po raz pierwszy usłyszała tę tęskną, melancholijną pieśń. Wierzyła bowiem, że tam gdzie jest śpiew, nie ma wrogości.

styczeń-lipiec 2004

" opublikowane w Magazynie Fantastycznym 2(8) 2006